

A black and white portrait of Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, looking upwards with her eyes closed. She has dark, wavy hair and is wearing a dark, textured garment. The lighting is dramatic, highlighting her face against a dark background.

Anna
Nasiłowska

**MARIA
PAWLIKOWSKA-
JASNORZEWSKA**

czyli Lilka Kossak
Biografia Poetki

Anna Nasiłowska

MARIA PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA,
CZYLI LILKA KOSSAK

BIOGRAFIA POETKI

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-67950-47-3

Copyright © Anna Nasiłowska

Tekst: Algo, Toruń 2010

Spis treści

[Maria, zwana Lilką](#)
[To Kossak!](#)
[Młoda para](#)
[Lili Bzowska](#)
[Rozwód](#)
[Miłość](#)
[Pawlikowska](#)
[Debiut](#)
[Rodzina literacka](#)
[Życie towarzyskie](#)
[Flirty](#)
[Kryzys małżeński](#)
[Francja](#)
[Dramaty](#)
[Gorzkie pocałunki](#)
[Nowa energia](#)
[Życie twórcze](#)
[Szaleństwo przestrzeni](#)
[Spotkanie astralne](#)
[Paryż – miasto zakochanych](#)
[Cała władza w ręce poetów!](#)
[Racjonalizm](#)
[Samodzielność](#)
[Lotnicy](#)
[Lili Jasnorzewska](#)
[Dęblin](#)
[Premiery, podróże i kwiaty](#)
[Ucieczka](#)
[Anglia](#)
[Romans korespondencyjny](#)
[Koniec](#)
[Epilog](#)
[Wybrana bibliografia](#)

Maria, zwana Lilką

Kiedy rodzi się poeta? Kiedy zapisze pierwszy wiersz, czy wtedy, gdy go opublikuje? Gdy wyda pierwszy tomik, czy gdy zdobędzie uznanie? Albo znacznie wcześniej, gdy jako dziecko zaczyna patrzeć na świat i dostrzega jego dziwność, tajemniczość i piękno. To jest wielki przywilej: móc biegać po ogrodzie, dorastać w kulturalnym domu, pełnym pamiątek i książek. Mieć pod ręką wspaniałe rekwizyty malarskie, widzieć swego ojca i dziadka w pracowni, za sztalugami. Spotykać ciekawych ludzi, którzy bywali w salonie rodziców. Urodzić się w domu, który łączy zalety wiejskiego dworu z bliskością historycznego centrum. Maria Pawlikowska-Jasnorzewska urodziła się 24 listopada 1891 roku w Krakowie, w Kossakówce, willi z obszernym ogrodem, położonej tak szczęśliwie, że od Wawelu dzieli ją tylko niewielki spacer. Jej ojcem był Wojciech Kossak, słynny malarz, a dziadkiem Juliusz, także mistrz pędzla. Obaj są przedstawicielami polskiego stylu, specjalistami od koni. Ona wybrała taką dziedzinę, w której nie była spadkobierczynią rodzinnego stylu.

Nie była przywiązana do poetyckiej mitologii dzieciństwa. W wierszu *Ja* napisała:

Było raz dziecko zabawne i tłuste. Umarło. Nie ma go nigdzie.
Biegało po domu, krzyczało. Są jeszcze jego fotografie w salonie.
Aż śmiać się i istnieć przestało, i nikt się nie dziwił tej krzywdzie,
Choć było tak kochane i rozpieszczane.

I nawet mama, która pochylała się kiedyś czule nad kołyską i nie spała całe noce, ani się nie dziwi tej utracie, ani nie płacze. Zostały po tym dziecku jakieś absurdalne pamiątki. Zabawki, ubranka. Odłożone na strychu, niepotrzebne. Puente tego wiersza jest taka: „miejsce jego zajęła jakaś niedobra kobieta...” Kiedy to pisała, wiedziała już, że nie jest aniołem. Przekonała się, że to niemożliwe. Dziwne jednak, że o sobie samej jako dziecku pisała tak jakby było jakimś stadium larwy.

W swojej twórczości była od razu młodą kobietą, świadomą swoich atrybutów. Nigdy nie była starą kobietą. Zmarła w 54 roku życia.

Nie obawiała się ujawniać płęć, cały jej sposób patrzenia na świat jest naznaczony kobiecością. I nawet jej styl, jej delikatny urok, wiąże się z czymś szczególnym. Wdzięk. To określenie najczęściej pada, gdy mówi się o zaletach poetyckich Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Oczywiście, trudno to zdefiniować, bo po prostu nie ma na to recepty. Na pewno swoje znakomite wyczucie języka polskiego i dowcip wyniosła z domu.

Wiele zawdzięczała rodzinie, choć w jej życiu bywały okresy, kiedy rodzina wpływała na nią destrukcyjnie. To taka rodzina, od której bardzo trudno się uwolnić. Także z powodu silnych więzów. Czyli, mówiąc po prostu: miłości. Ale nie tej, poszukiwanie której stanowi przewodni motyw jej życia i główny temat jej poezji.

Być może pełna dojrzałość wymaga tego, by opuścić dom dzieciństwa. Ona opuściła dzieciństwo i przez wiele lat była bardzo kochaną dorosłą córką, która miała kłopoty z samodzielnym życiem. Jej siostra Magdalena, która miała podobne problemy, skwitowała to zdaniem: „Miałyśmy po prostu zbyt udanych rodziców”.

To Kossak!

Końcowe lata XIX wieku i początek XX były dla Wojciecha Kossaka okresem największego powodzenia jako artysty. W tym czasie siły jego ojca, Juliusza, zaczęły się już wyczerpywać, sędziwy malarz zmarł w 1899 roku w krakowskiej willi zakupionej trzydzieści lat wcześniej. Miał powody, by sądzić, że syn będzie nie tylko godnym spadkobiercą, ale i twórczym kontynuatorem jego dzieła. Do ukształtowanego przez Juliusza zestawu ulubionych polskich tematów malarskich jak obrazy bitew i polowań, konie, także – przedstawione w ruchu, jego syn, Wojciech, potrafił dodać swój autentyczny talent i jeszcze coś, rzadko spotykanego u artystów. Siłę przebicia. Ojciec zabiegał o względy ziemian i polskich arystokratów; sprzedawał im swoje akwarele, zdobył dobrą markę i sławę artysty narodowego, reprezentanta polskiego stylu, choć do końca wypominano mu brak formalnego wykształcenia malarskiego. Syn nie tylko miał za sobą École des Beaux Arts w Paryżu i pobyt w Monachium, który był wówczas mekką polskich artystów; uprawiał malarstwo olejne, szybko rozpoznał rynek, miał wybitne zalety towarzyskie, którym – jak byśmy dziś powiedzieli – towarzyszyły zdolności udanej autokreacji i skutecznej autopromocji. Był ozdobą świetnego towarzystwa, nie tylko polskiego, obdarzony osobistym wdziękiem, potrafił przekuć to na sukcesy finansowe.

Ożenił się z panną z ziemiańskiej rodziny, usatkwował, ale jego urok i towarzyskie zalety nic na tym nie straciły. Potrafił sprawić, że to nie on zabiegał o zamówienia – to do niego zwracano się, by zechciał znaleźć czas i zainteresował się propozycją. Cesarz Franciszek Józef na wiosennym salonie sztuki w Wiedniu osobiście zwrócił uwagę na jego dzieło i autora. Cesarz poza wartością artystyczną obrazów młodego Wojciecha Kossaka docenił fakt, że podejmowana jest tematyka wojskowa, a sam autor zjawił się w cesarsko-królewskim mundurze.

W ślad za tym jesienią 1886 roku Wojciech Kossak otrzymał zaproszenie na polowanie w Gödöllő pod Budapesztem. Tam zaprezentował się godnie, dano mu konia i dowiedział, że jest świetnym jeźdźcem. Obraz, który powstał po polowaniu, należy do najznamienitszych w jego dorobku, przedstawia trzydzieści osób z najwyższej arystokracji austro-węgierskiej, ukazanych na koniach, w ruchu, z psami, z Franciszkiem Józefem na świetnym karym ogierze. Tworzą cudownie skomponowaną grupę barwną, przeciętą topolą, która rysuje się na pierwszym planie. Jeźdźcy ubrani w czerwone stroje z białymi spodniami i czarnymi nakryciami głowy. Kolejne zamówienia wiązały się z następnymi zaproszeniami na polowania i do rezydencji. Do żony pisał, że wiedzie „bajeczne życie, bawię się w arcyksięcia i nadzwyczaj mi się to podoba”. Kossak młodszy stał się modny w Wiedniu. Wkrótce o jego względy starał się także cesarz niemiecki Wilhelm II. Ledwie miał czas nadążyć. Płacono mu dobrze, a przy okazji udawało się przemycić pewne polityczne tematy, zgodne z polskim punktem widzenia. Gdyż Kossak robił międzynarodową karierę, nie rezygnując z podkreślania swojego pochodzenia, przeciwnie, przywiązanie do koni, tradycje kawalerii i rozmiłowanie w historii stanowiły jego siłę. Nie tworzył obrazu polskości cierpiętniczej jak Grottger, jego wizja to dramatyzm historii, pochwała aktywności i waleczności. I jeszcze – bujny temperament, wigor, witalność.

Nie brakło oczywiście w Polsce takich, którzy uważali pracę dla Franciszka Józefa czy Wilhelma II za zdradę, zwłaszcza w zaborze rosyjskim, gdzie stosunki były inne. Ale Kossakowie od dawna już mieszkali w Krakowie, a w Galicji pod koniec XIX wieku większość nurtów politycznych stawiała na umiarkowaną współpracę przy próbie wywalczenia możliwie szerokiej polskiej autonomii.

W 1891 roku, tym samym, w którym w Krakowie urodziła się córka Maria, Wojciech namalował duże (3 x 6 m) płótno należące do cyklu *Wspomnienia z lat dziecińczych*. Należało do najlepszych jego dzieł. Oryginał zaginął podczas II wojny światowej, najprawdopodobniej

obraz wywieziono i ślad się urwał, już przedtem został uszkodzony przez pożar i dziś znana jest tylko kopia. Kiedy rodzi się dziecko, każde kolejne, pamięć rodziców cofa się w ich przeszłość, przywołuje obrazy. Jakież to może być wspomnienie? Jakiś ogród? Matka? Ojciec za sztalugą? Konik? Nie. Środkiem pokrytego śniegiem Krakowskiego Przedmieścia w Warszawie pędzi na złamanie karku oddział Czerkiesów z nahajkami, traturząc i bijąc kogo napotka na swej drodze: dziecko, kobietę z koszem warzyw, niewinnych przechodniów. W tle – doskonale rozpoznawalny Pałac Staszica. Cenzura PRL-u długo nie pozwalała na zamieszczanie reprodukcji tego dzieła, ale cesarz niemiecki nie miał nic przeciwko podejmowaniu takich tematów, bo antyrosyjski wydźwięk był mu na rękę. A dla Polaków było to ważne wspomnienie, 27 lutego 1861 roku na Krakowskim Przedmieściu zabito 5 osób, po tym zdarzeniu obowiązywała roczna żałoba narodowa. To był prolog Powstania Styczniowego.

Były także obrazy napoleońskie: podobały się, a Polacy rozumieli je po swojemu jako przypomnienie snu o wolności i niepodległości, o którą walczyli u boku cesarza Francuzów.

W 1892 roku malarz Jan Styka ze Lwowa postanowił stworzyć na otwarcie Powszechnej Wystawy Krajowej panoramę bitwy pod Raławicami. Przedsięwzięcie było ogromne, czas naglił, wobec tego zadania podzielono, a Kossakowi przypadło w udziale przedstawienie grup jeńców rosyjskich i jeźdźców. Wspólna praca wywołała też spory o autorstwo, męczące i nieprzyjemne, gdyż sukces miał zbyt wielu ojców. Kossak gotów był jednak zaangażować się w kolejną wielką inicjatywę, tym razem z Julianem Fałatem, malując panoramę bitwy pod Berezyną. A że Fałat słynął jako najwybitniejszy specjalista od malowania śniegu, a Kossak od przedstawień figuralnych – efekt artystyczny takiej współpracy był znakomity. W 1896 roku panoramę Berezyny pokazywano w Berlinie, gdzie doceniono artystyczny poziom pracy, ale niestety nie spotkała się z wielkim zainteresowaniem. Pokazywano ją jeszcze potem w kilku miastach, a wreszcie – pocięto i sprzedano w kawałkach w 1907 roku.

Powodzenie artystyczne trwało, ale wiązało się z długimi okresami przebywania poza domem. Kossak musiał malować we Lwowie, jeździł na miejsce bitwy pod Berezyną, pracował w Berlinie, jeździł do Hiszpanii, by zobaczyć wawóz Somosierry, planując kolejną panoramę, prace nad którą zatrzymano na skutek stanowczego weta ambasady rosyjskiej, przebywał więc w Petersburgu, usiłując wpłynąć na zmianę decyzji, malował w Warszawie, jeździł do Egiptu (aby namalować kolejne obrazy napoleońskie), wystawiał w Londynie, bo i tam interesowano się jego sztuką. Uprawianie malarstwa batalistycznego – poza czysto malarskimi umiejętnościami – wymagało i wizji lokalnych, i głębokiej historycznej wiedzy, i oczywiście zamięłowania.

Kossak pracował jak dokumentalista, a jego kompetencje można zestawić z dzisiejszą pracą scenografa filmu historycznego. W jego obrazach musi się zgadzać wszystko: światło, koloryt, topografia. Układ wojsk odpowiada sytuacji na polu bitwy konkretnego dnia. Nie mówiąc już o tym, że odtworzone są z pietyzmem szczegóły umundurowania. I oczywiście konie. To nie są konie „w ogóle”, jakieś konie, co to jakie są – każdy widzi. Jego koń ma indywidualność, rasę, właściwy sobie sposób poruszania się. Koń i jeździec tworzą niepowtarzalną parę. Nie zawsze szczęśliwą. Na przykład postawę konną cesarza Wilhelma II tak zrecenzował Kossak w swoich wspomnieniach: „O siedzeniu cesarza na koniu (...) zaznaczyć muszę, że nie jest ono tak klasycznie piękne jak Franciszka Józefa I. Leży to poniekąd w strukturze jego ciała. Ma bowiem cesarz Wilhelm miednicę i uda bardzo szerokie, stopy zaś naprzód wyciągnięte, co razem robi wrażenie, że nie siedzi głęboko”. Do koniecznej wiedzy malarza tego typu należały bowiem jeszcze dobre umiejętności jeździeckie, znajomość kawalerii i realiów pola walki. A Kossak dodał do tego jeszcze coś z siebie: dynamizm, temperament, fantazję. Jego konie przedstawiane są w momencie skoku, gdy cztery nogi oderwały się od ziemi. One nie biegną. Lecą.

W obrazach Kossaka w pewnym momencie zaczęto widzieć atrakcję dla ziemiańskich snobów. Dziś już nikt nie ma ani potrzebnej wiedzy, ani umiejętności, ta gałąź malarstwa od dawna całkowicie zamarła, a potrzeby wizualizacji historycznej zaspokaja film. Na początku XX wieku, choć w Wiedniu kwitł bunt secesji, a w Paryżu – impresjonizm i pojawiały się już ruchy awangardowe, malarstwo batalistyczne, wywodzące się ze starszej tradycji XIX-wiecznego akademizmu, przeżywało prawdziwy boom. Było przeznaczone i dla dworów, i dla szerokiej publiczności, a nowinki w rodzaju impresjonizmu czy secesji – znajdowały uznanie wśród koneserów. Gdy potem, z perspektywy czasu, pisze się historię sztuki, wydobywa się na pierwszy plan to, co rzeczywiście nowe i przełamujące konwencje. Kossak w swojej dziedzinie miał klasę najlepszych w Europie i walczył nie tylko o polskie, ale międzynarodowe uznanie.

I nie miał czasu. Walczył o pozycję i był przy tym niesamowicie pracowity.

Kossakówką zarządzała żona, Maria z Kisielnickich, osoba dobra, religijna, łagodna, ale nieco bezradna. Zwłaszcza wobec syna Jerzego, który nie chciał się uczyć, choć zdradzał niewątpliwe zaczątki talentu malarskiego i od razu został mianowany na następcę ojca i dziada. Na wyrost, bo nie był tak pracowity jak dziad i ojciec ani tak samodzielny. Z córkami też były kłopoty. Zwłaszcza ze starszą, Marią, choć innego rodzaju. Maria na wakacjach u wujostwa podczas tańca złamała prawą rękę. Może gips był za ciężki, może jej nie dopilnowano, by siedziała prosto, gdy usiłowała wyćwiczyć rysowanie lewą ręką. Kręgosłup zaczął się krzywić. Wobec tego w Krakowie zasięgnięto rady specjalistów od rehabilitacji i pewna pani, stosująca najnowsze metody gimnastyki leczniczej, obiecywała szybki sukces. Niestety, kręgosłup krzywił się jeszcze bardziej, zwrócono się więc do innego specjalisty, który zalecił drakońską, bolesną terapię, polegającą na wyciąganiu. Wreszcie w Berlinie znaleziony przez Wojciecha wybitny lekarz ortopeda stwierdził, że skrzywienie może być skutkiem błędnych zaleceń poprzedników i jest nieusuwalne. Panna będzie do końca życia skazana na noszenie gorsetu. Lekko wystająca łopatka, brak talii, nieco kołyszący chód – już jej zostaną.

Maria, zwana Lilką, przeszła w dzieciństwie przez cierpienie i ból. Choroba dziecka zwykle oznacza coś jeszcze: okres wycofania z dziecięcych zabaw może sprzyjać rozwojowi indywidualizmu i marzycielstwa, artystycznej pasji i poczucia wyjątkowości. Całe okresy, które młody człowiek zamiast na zabawach spędza na lekturze, nie pozostają bez wpływu. To bardzo twórcze: porzucić bez troski dzieciństwo, wejść w świat książek i własnej fantazji. Ale i obciążające. Młodzieńcza nadświadomość wyhodowana w zaciszu własnego pokoju z trudem daje się przystosować do wejścia w realny świat. Choroba powoduje koncentrację na sobie. Nadmierną koncentrację? Ale jaka jest „nadmierna”? To może być rys psychiczny kształtujący przyszłą postawę artystyczną.

Problemem jest też reakcja otoczenia. Miłość rodziców i potrzeba wynagrodzenia dziecku cierpienia mogą przerodzić się w nadopiekuńczość. Maria była stałym obiektem troski, z matką łączyła ją wyjątkowo silna więź emocjonalna. Skakano wokół niej, rozpieszczano, chcąc wynagrodzić jej ból i sprawić, by ani przez chwilę nie czuła się gorsza. Młodszą trzy lata Madzią zaczęły miotać sprzeczne uczucia: miłość i zazdrość, bezgraniczny podziw wobec siostry i chęć dorównania jej, które widać nawet w jej wspomnieniach, które pisała jako dorosła osoba. A co dopiero w życiu codziennym! Madzia i Lilka musiały być nieznośne – razem. Kłóciły się o głupstwa, ale żyć bez siebie nie mogły. Niewiele natomiast wiadomo o relacji z bratem. Jerzy dość szybko został uznany przez Madzię za element niepasujący do rodzinnej układanki. Madzia opowiedziała o wspaniałych rodzicach i genialnych córkach. Brat został wykluczony z tej historii. Były tylko one: Madzia, czyli najdowcipniejsza kobieta w Polsce, i Lilka, cudowna, najpiękniejsza, najmądrzejsza i wielka poetka. Oraz rodzice. Matka, cudowna, ale smutna, blada i biedna. Kochana stale, ale nie wyłącznie i nie dość gorąco. Wiecznie zatroskana. Bliska łoż. I jeszcze jedna kobieta w domu, Ewa, żona Jerzego.

Niestety, znowu nieszczęśliwa, targana zmiennymi nastrojami i nie lubiana przez siostry. I jeszcze służba z Kucharcia na czele. Między państwem a Kucharcia toczyła się iście gombrowiczowska gra. Nie wiadomo, czy państwo nie są w gruncie rzeczy posłusznymi życzeniom sług. Kucharcia życzyła sobie mieć wspaniałych „jaśnie państwa” i mimo wyraźnie demokratycznych wiatrów historii zwracała się do wszystkich z właściwymi tytułami, panienki tytułując jaśnie panienkami i wymuszając zachowanie form i hierarchii. A więc to tajemnicza sprawa, kto właściwie rządził w Kossakówce. Na co dzień panował chwiejny matriarchat.

Wojciech Kossak może zdołałby zapanować nad wzburzonymi emocjami w Kossakówce, gdyby częściej bywał w domu. Przeważnie go nie było. Troszczył się, pisał listy. I przysyłał pieniądze. Coraz więcej, w nadziei że konie, toalety pań czy samochody coś załatwią. Niestety! Na dodatek właśnie pojawiła się w jego życiu miłość. Niejedyna, bo kobiet w jego życiu zawsze było bardzo wiele, ale za to trwała. I wielka przyjaźń – na całe życie. Zofia Hoesickowa, żona wydawcy. Młodsza od Wojciecha o 30 lat. Namalował ją w 1909 roku. Portret to nie fotografia, która może uchwycić coś przypadkowego, mało znaczącego. Portret mówi o tym, co artysta dostrzegł w modelu. Co? Inteligencję i ciekawość wyrażające się w jej spojrzeniu, wyrafinowanie i delikatność – widoczne w geście wypielęgnowanej, małej dłoni. To przede wszystkim. Na pewno jest jeszcze wdzięk, elegancja i dobra figura z bardzo smukłą talią i ładnym biustem; oczywiście ma na sobie gorset i może jeszcze wałeczek, który dodaje troszkę krągłości na pupie, sprawiając, że spódnica zalotnie się uchyla. Tyle ile trzeba, nie za dużo. Bogaty lis i zawadiacka czapka ozdobiona piórami, zabawnie nawiązująca do polskiego nakrycia głowy. Koronki, dobry gust, temperament. Pani modna, z towarzystwa, ale nieco przekorna i zadziorna. Pyszne kasztanowe włosy. Ironiczna. Uchwycona w momencie, gdy patrzy na rozmówcę, słucha go życzliwie, z zainteresowaniem, ale zaraz coś powie. I to nie będzie po prostu: tak. To może być: tak, ale... albo: myślę, że warto popatrzeć na problem odwrotnie... Taki był charakter Zofii. Żona – to całkiem inna psychologia. Delikatna i subtelna blondynka o niebieskich oczach, troszkę sztywna. Polski ideał. Więc w zasadzie powinno wyjść z niej coś przekornego i dzielnego, ale nie wyszło. Po prostu cierpiała.

No więc Wojciech Kossak rzadko bywał w domu. Z wielu powodów, przede wszystkim zawodowych; ten miłosny na pewno należy umieścić na dalszym planie, ale w wyobraźni żony mógł być bardzo ważny. Oczywiście on ją zapewniał, że się myli, że przesadza, ma być całkowicie pewna jego niezmiennych uczuć i przywiązania do rodziny, a na resztę machnąć ręką i się śmiać, bo to głupstwa. Po prostu – kobiety go lubią pasjami, a okazji ma tyle, że i tak mało korzysta. Ale ona płakała. I jeszcze w małżeństwie syna też przestało się układać, robił to samo co ojciec, ale bez jego wdzięku. Nie był wielkim wspaniałym Wojciechem. Odcinał kupony od sławy ojca, puszczał pieniądze, zapożyczał się.

W lipcu 1914 roku Wojciech Kossak miał wypadek samochodowy. Dość groźny. O jego zdrowie dopytywał się dwór i z Wiednia, i z Berlina, i nawet Wojciech nie bez dumy napisał do Zofii, że cesarze traktują go lepiej niż jakiegoś arcybiskupa. Zaraz potem jednak historia przyspieszyła tempa, gdy serbski student, Gawiło Princip, wysadził w Sarajewie następcę tronu austro-węgierskiego, arcyksięcia Ferdynanda. Z małżonką, która nigdy nie została uznana za właściwą, bo była tylko czeską hrabianką. Jeden wybuch pociągnął za sobą lawinę reakcji. Gdy wybuchła wojna, stan zdrowia najwybitniejszego malarza – batalisty przestał być sprawą wagi państwowej. Wojciecha Kossaka mimo kontuzji zmobilizowano, zresztą wraz z samochodem, marki Austin. Rotmistrz Kossak miał dowodzić kolumną samochodową, stworzoną naprędce z zarekwirowanych eleganckich aut.

Sytuacja wyglądała groźnie, panie znalazły się więc w Ołomuńcu. W Krakowie mogło być niebezpiecznie, obawiano się bombardowania. Tym bardziej, że front się przybliżał, armia Franciszka Józefa ponosiła straszne klęski. Wojska rosyjskie szybko zajęły Lwów,

potem Przemyśl, a patrole kozackie zapuszczały się w Pieniny. Tymczasem w armii na początku wojny grasowała czerwotka, cholera i tyfus. Brakowało szpitali, środków medycznych. Rany Kossaka nie chciały się goić, a w wojsku brak było warunków do zachowania higieny.

Udzielono mu więc urlopu. Mógł przebywać jakiś czas z żoną i córkami. To wtedy po raz pierwszy w liście Kossaka do Zofii Hoesickowej pojawia się wzmianka o tym, że w Ołomuńcu paniom dotrzymuje towarzystwa rotmistrz Władysław Bzowski, oficjalny narzeczony Marii. Kossak w 1914 roku robił co w jego mocy, by wybronić od poboru wszystkich, którzy zwracali się do niego o pomoc. Pochód wojsk rosyjskich w głąb Galicji został jednak zatrzymany, a sytuacja została opanowana dzięki pomocy Wilhelma II. Jej przyjęcie groziło jednak podporządkowaniem polityki Austro-Węgier Prusom i stanowiło poważne zagrożenie dla polskich planów autonomii w oparciu o zmuszoną do akceptacji wielonarodowości monarchię Habsburgów.

Kossak znalazł się w Zakopanem, które już w pierwszym okresie wojny przestało przypominać wakacyjny kurort. Pełne było wojennych uciekinierów, także – z Kongresówki, czyli poddanych rosyjskich, których sytuacja była nadzwyczaj trudna. Często biedowali. Nie mieli pieniędzy, kontakty zostały zerwane, groziło im pod byle pretekstem oskarżenie o szpiegostwo i sąd wojskowy. „Ten straszny sąd, który zna jedną karę” – to określenie ze wspomnień Kossaka. Polacy znaleźli się po różnych stronach konfliktu, podzieleni arbitralnie, według przynależności do państw zaborczych. Galicyjskim starostom trudno było wytłumaczyć, że ci z Kongresówki to nie po prostu obywatele rosyjscy, a więc wrogowie.

Zaczęły się też braki w zaopatrzeniu. Miastom groził głód. W Ołomuńcu było spokojnie. Panie, zamiast to docenić, narzekały na nudę, brak dobrej obsługi, nieposprzątane pokoje. I jeszcze że jedzenie jest bardzo jednostajne i z tego powodu cierpią. W Kossakówce jedzenie było zawsze dobre, a w ostatnich latach przed wybuchem wojny – wręcz wyśmienite. Polityczne namiętności kobietom wydawały się niezrozumiałe, do tej pory były pod kloszem. „Biednej Maniusi z okropieństw wojny dały się we znaki tylko niesprzątane pokoje w ołomuńskim hoteliku, jednakowe menu i brzydka pogoda” – napisze młodsza córka po latach (w książce *Maria i Magdalena*). Wkrótce, wobec ustabilizowania się sytuacji na froncie, panie wróciły do Krakowa. 5 sierpnia 1915 roku wojska niemieckie zajęły Warszawę. Kossak, wraz z austriacką dywizją generała von Czapp, znalazł się na terenach Kongresówki. Patrzył na ruinę gotyckiej katedry i kolegiaty w Wiślicy, które zburzono na jego oczach. Obserwował to przez lornetkę. Ich zniszczenie było dla niego świadectwem germańskiej żądzy zdeptania śladów obcej kultury. Wiadomość o zajęciu Warszawy zastała go podczas bitwy. Przejeżdżając w sierpniu przez tereny dopiero co opuszczone przez Rosjan, obserwował przerażający obraz. Puszczane z dymem przez Kozaków wsie, w których nikt nie pozostał żywy, wypalone pola, zmarnowane zbiory.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI